

## ILONA DYNERMAN

ur. 1954; Warszawa



<b>Miejsce i czas wydarzeń</b>	Warszawa, Lublin, dwudziestolecie międzywojenne, II wojna światowa, PRL
<b>Słowa kluczowe</b>	Warszawa ; Lublin ; dwudziestolecie międzywojenne ; II wojna światowa ; PRL ; rodzina Dynermanów ; historia rodziny ; Dynerman, Waldemar (1951- ) ; Dynerman, Jan (Mosze, Israel) (1917- 1996) ; Dynerman (Diner), Michał (Moszek) ; Dynerman, Szmul ; ukrywanie się ; getto warszawskie ; ukrywanie Żydów ; Pan Marchow ; ulica Pańska w Warszawie ; ulica Solec 115 w Warszawie ; Dynerman, Jakub ; przyjazd dziadków do Lublina ; ulica Lubartowska 19 (14, 20) ; Dynerman, Chaim ; zakład blacharski ; blacharstwo ; potrawy żydowskie ; praca w zakładzie blacharskim

### Ilona Dynerman - całość relacji świadka historii

#### 1. Zrezygnowałam z aktorstwa i zaczęłam badać genealogię swojej rodziny

Urodziłam się w Warszawie na Pradze w 1954 roku. Mam jeszcze starszego brata, Waldka, który urodził się w 1951 roku. Mama Cecylia, ojciec kiedyś Israel Dynerman, po wojnie Jan Dynerman. Mieszkaliśmy cały czas w Warszawie. Skończyłam średnią szkołę, potem pracowałam parę lat w Teatrze Żydowskim. Potem wyszłam z tego Teatru Żydowskiego, parę lat pracowałam w różnych teatrach na terenie Polski. Potem stwierdziłam, że zawód aktorstwo to nie jest dla mnie i zajęłam się zupełnie czymś innym. Pracowałam u fotografa w biurze. Prowadziłam klientów, finanse, wszystkie takie rzeczy, a w tej chwili już nie pracuję i namiętnie zajmuję się genealogią Dynermanów, no i żałuję, że ojciec nie wiedział tego, co ja wiem, bo ja wiem dużo więcej niż mój ojciec wiedział, niż mój dziadek wiedział. W ogóle dużo więcej wiem w tej chwili o naszej rodzinie, niż oni wiedzieli i w ogóle próbowali nam przekazać. Dwadzieścia lat pracowałam jako aktorka, potem stwierdziłam, że to jest po prostu zawód, który emocjonalnie i psychicznie po prostu jest bardzo kosztowny, i że ja już chcę trochę inaczej. I zrezygnowałam, po prostu. To znaczy zdaję sobie sprawę z tego, że gdybym nie spróbowała i nie pracowała, to być może byłoby mi źle z tym, bo bym gdzieś tam swoje marzenia ominęła, czy nie zrealizowała swoich marzeń, natomiast wiem, spróbowałam, pracowałam, powąchałam – stwierdziłam:

dobra, wystarczy. Teraz co innego, no. A teraz już nie pracuję, teraz już mogę zająć się czym chcę.

## 2. Historia rodziny Dynermanów

Jak zmarł mój ojciec w 1996 roku, to nagle ocknąłam się, że niewiele wiem, że tylko to, co mój ojciec czasami opowiadał. Po wojnie zachowało się bardzo niewiele rzeczy, to znaczy po wojnie od strony Dynermanów czy od strony mojego ojca, bo to ja w tej chwili mówię jakby historię strony mojego ojca. Historia mojej mamy jest oddzielną historią. Mama była na robotach przymusowych, nie miała pochodzenia żydowskiego, jej historia jest jakby zupełnie inna. Też ciężka, ale inna. Od strony mamy mam olbrzymią rodzinę. Mam takich kuzynów, którzy zajmują się historią rodziny od strony mamy, natomiast od strony mojego ojca nie ma nikogo w tej chwili, nikogo absolutnie. Jestem ja i mój brat, i jacyś kuzyni siedemdziesiąta ósma woda po kisielu. Przez wojnę przechowało się parę fotografii. I takie puszczone przez mojego ojca czasami teksty, takie jakieś opowieści, znaczy myśmy niby wiedzieli, u nas w domu nie było tajemnicy, tak jak w innych domach, tajemnicy pochodzenia mojego ojca, czy tego, że przeżył zagładę czy coś – nie było, ale oczywiście nie było też długich rozmów z różnych powodów czy opowieści, tylko były takie kawałki. I nagle jak mi ojciec zmarł w 1996 roku, to ja stanęłam i mówię: Boże, przecież nawet ja nie wiem, kto na tych zdjęciach jest tak naprawdę, na niektórych [zdjęciach], które się przechowały. Przecież ja w ogóle nic nie wiem. No i zaczęłam troszkę grzebać. To było dawno temu, no ale w tamtych czasach niewiele rzeczy było łatwo dostępnych. I tak gdzieś dogrzebałam się paru rzeczy, z jakiegoś archiwum przysłano mi informacje i to wszystko stanęło. I parę lat temu, jak powstało Muzeum Polin w Warszawie i taki kurs genealogiczny. I ja poszłam na ten kurs. I na tym kursie zaczęłam dowiadywać się, gdzie mogę szukać. I pojechałam do archiwum, zaczęłam grzebać, grzebać, grzebać i nagle wysypał się mi worek, bo w Warszawie dokumentów nie ma, jest bardzo mało dokumentów, natomiast poza Warszawą są jeszcze te dokumenty. I nagle wysypało się mi wszystko. Nagle nauczyłam się szukać i nagle okazało się, że to, co mój ojciec kiedyś mówił, że myśmy mieli wielką rodzinę, ja tam tej wielkiej rodziny nie widziałam, bo i skąd, to nagle ja mam dwieście osób, dwieście pięćdziesiąt osób. Oczywiście patrząc wstecz do któregoś momentu. Mam takie wielkie trzy segregatory z dokumentami. Mam takie zeszyty, w których zapisuję każdą osobę i oczywiście mam zamiar to w pewnym momencie, znaczy nie o wszystkich oczywiście, no bo o niektórych tylko wiem, że byli. No i mam zamiar w pewnym momencie to usiąść i wszystko tak po swojemu troszkę opisać, znaczy, nie żeby gdzieś Bóg wie gdzie dawać, tylko po to, żeby dla syna było. Dla syna, gdzieś dalej, żeby po prostu to nie zniknęło. Pierwszy dokument, jaki mam, to jest z 1828 roku, akt ślubu. Z tego aktu ślubu mam jakby wcześniejsze dane, to znaczy wiem, że gdzieś tysiąc siedemset któryś, Lejb bodajże – to był taki najstarszy, do którego

dotarłam. Potem miał syna, nie pamiętam w tej chwili jakiego, i pierwszy akt ślubu to jest Moszek, tak jak mój dziadek, Moszek Dynier jeszcze wtedy, Dynier – Diner właściwie, 1828 rok, o ile pamiętam. No oczywiście już kombinuję, że pewnie dlatego nazywamy się Dynerman, bo w tym dokumencie jest, że on był służącym, a to jest właśnie diner, więc i to jest mniej więcej żył w tym momencie, kiedy były nadawane nazwiska, więc być może było nadane nazwisko od tego właśnie, że był służącym. No i tam najróżniejsze po kolei. Jak już ma się jeden dokument, to z tego dokumentu wynikają inne rzeczy, można szukać. To jest cała, wielka zabawa detektywistyczna, bardzo fajna zresztą. Zaczęła się w ogóle od tego, że mój dziadek we wszystkich dokumentach podawał, że urodził się w Jedlińsku. Jak zaczęłam szukać, oczywiście data urodzenia jest, ojciec i dziadkowie odtwarzali po wojnie, bo ojciec przeżył i moi dziadkowie przeżyli. Odtwarzali po wojnie dokumenty, daty urodzenia, wszystko. Ja dotarłam dość szybko, okazuje się, że jest akt urodzenia mojego dziadka, tylko oni w ogóle tego nie szukali, bo uznali, że to w ogóle jest niemożliwe, żeby cokolwiek się przechowało. Przechowało się. Oczywiście jest inna data urodzenia, oczywiście są inni rodzice, ale to już jest jakby specyfika, że po wojnie różne rzeczy podawało się. I okazało się, że nie urodził się w Jedlińsku tylko w Kozienicach i okazało się, że jakby Dynermanowie w większości pochodzą z Kozienic. I te radomskie archiwa, tam można znaleźć bardzo dużo. Przyjechali do Warszawy gdzieś tak koniec XIX wieku – według tego, co ja znalazłam, to znaczy mój prapradziadek Szmul Dynerman, którego przedwojenne zdjęcie mam, to jedno ze zdjęć, które przechowało się, przyjechał do Warszawy prawdopodobnie razem z bratem czy stryjem, ja musiałabym grzebać w notatkach, to jest zresztą mało ważne. Do Warszawy, tutaj ożenił się prawdopodobnie po raz drugi, bo pierwszy raz ożenił się w Jedlińsku. I jakby od tego momentu rodzina jest w Warszawie. Mój pradziadek Szmul Dynerman miał dwie żony. Pierwszą żonę miał właśnie w Kozienicach i w Jedlińsku, i z tej pierwszej żony jest mój dziadek z siostrą Salką, a potem przyjechał do Warszawy, ożenił się po raz drugi, bo tamta zmarła, też mam akt jej zgonu, ożenił się po raz drugi i tu miał – już nie pamiętam, w tej chwili nie chcę oszukać – trójkę albo czwórkę dzieci, z czego znane są historie, bo były utrzymywane stosunki z nimi. Przyjechali do Warszawy. Wiem, że ten pradziadek Szmul był szewcem. Wszyscy w zasadzie po kolei z tych Kozienic to są praktycznie szewcy. Szewcy albo tacy zarabiający na życie właśnie wynajmowaniem się do jakichś posług, usług i tak dalej. Myślę, że to jakaś dość biedna rodzina, albo no taka rzeczywiście ciężko pracująca. Jak przenieśli się do Warszawy – no tu się zaczyna etap blacharski, bo tamci kuzyni też blacharze, no mój dziadek został, ale pradziadek był jeszcze szewcem. Podobno miał jakieś zamówienia dla wojska rosyjskiego – ja tego nie znalazłam w dokumentach. Podobno miał jakąś fabryczkę w Warszawie chyba – ja tego nie znalazłam w żadnych dokumentach. Nie wiem, czy to jest prawda, czy legenda, ale takie jakieś były opowieści.

### 3. Pracowałam w warsztacie blacharskim ojca

Tutaj [w Lublinie] dziadkowie mieli [warsztat], a mój ojciec miał w Warszawie i ja jako taka nie wiem, dwanaście-trzynaście lat, chciałam mieć swoje pieniądze – ojciec wziął mnie do warsztatu. Powiedział: „Chcesz, to sobie zarób”. Myślał, że ja się zniechęcę, no tu najpierw mówił: „Pozamiataj, zrób mi herbatę, idź po jakąś drożdżówkę”. Myślał, że ja po trzech dniach powiem: „A, idę do domu”. A ja zaparłam się no i tak po kolei, po kolei na jednej maszynie, drugiej, trzeciej, czwartej, piątej i pracowałam potem na maszynach u niego, z wyjątkiem lutownicy, żebym nie poparzyła się, gilotyны do blachy – żebym ręk sobie nie pocięła i czyszczenia, bo to była straszna robota, czyszczenie kredą baniek. To tak robiłam na wszystkim: na tokarce, kraniki do tych, do baniek. [Bańki] czyściło się z zewnątrz, żeby była taka lśniąca, czyściutka. To pamiętam, że moja mama, była taka specjalna szyna przyczepiona do stołu, coś w rodzaju takiej kolejowej, przynajmniej tak to wyglądało. Pamiętam ten warsztat z dzieciństwa. I wkładało się bańki, opierało się na tym i mama kredą i szmatką czyściła. I gwarancja była dożywotnia. Mój ojciec dawał dożywotnią gwarancję na bańki, że robi takie, że nie mają prawa, żeby cokolwiek ciekło i tak dalej. Z taką szybką, bo to były odciągaczki dokładnie, odciągaczki do śmietany, czyli wlewało się tam mleko, czekało się, aż śmietana i taka była szybka, kranik był, otwierało się ten kranik, z tego kranika spuszczało się mleko i jak już zostawała tylko śmietana, widać było przez tę szybkę – zakręcało się kranik i była sama śmietana. Znaczą ojca były trochę inne [niż dziadka]: pałak był półokrągły, bo to już było później. To są chyba takie tylko do noszenia. Nie widzę tutaj szybki i kranika.

### 4. Warsztat blacharski dziadka w Lublinie

W tym zakładzie [dziadka] byłam i go pamiętam. Wchodziło się, po prawej stronie był jakiś stół oczywiście ja tylko fragmenty pamiętam – za warsztatem była, nie wiem, czy komórka, czy jakieś pomieszczenie. Wiem, że dziadek kury hodował, tylko nie wiem, czy w tym pomieszczeniu, czy one po podwórku latały, ale pamiętam, że hodował kury. I tak mi się wydaje, ale może coś wymyślam, że schodziło się jakby stopień w dół do tego warsztatu, ale może to są jakieś moje wymysły. Taki mam jakiś obraz. Myśmy tutaj przyjeżdżali dość często, ponieważ no po pierwsze dziadkowie tu mieszkali. Po drugie ojciec pomagał dziadkom, to znaczy, tak jak pamiętam, przywoził towar, czyli przywoził też bańki. Dziadek chyba miał więcej niż odciągaczki. Mnie się wydaje, że były i rynny, i jakieś inne naczynia z blachy, bo mój ojciec robił tylko odciągaczki w tym czasie, kiedy ja pamiętam. Przywoził mu towar, który dziadek sprzedawał. Nie wiem, na ile to było legalne, na ile nie i czy to było oficjalne, czy nieoficjalne, ale to były inne czasy. Babcia zmarła w 1960 roku – myślę, że [warsztat działał] gdzieś do 1970 roku. Dziadek potem został w Lublinie. W pewnym momencie zlikwidował warsztat i to było bardzo dużym błędem – to był nie wiem, czy 1971, czy

jak – i przeniósł się do Warszawy. W 1972 roku zmarł. Ja to do tej pory wiązę likwidację tego warsztatu ze śmiercią dziadka, no bo jeżeli się ma osiemdziesiąt parę lat i się tam nawet niekoniecznie już pracuje w tym warsztacie, ale przynajmniej siedzi i sprzedaje, bo ojciec właśnie też przywoził wtedy jeszcze, no to ma się zajęcie. Jak przestaje się to robić w tym wieku, to już nie jest dobrze.

## 5. Rodzinne wspomnienie o fotografii i filmie

[Na zdjęciu] jest mój kochany dziadek. On urodził się w 1885 roku w Jedlińsku – sto lat przed moim synem. To jest mój ojciec. Dziadek Mojsze Dynerman kiedyś, później Michał Dynerman. Mój ojciec Israel Dynerman, po wojnie Jan Dynerman. Babcia była Chaim Dynerman, z domu Zigelman. Tu odbiłam się od ściany, żeby szukać jej rodziny. Tu mam bardzo niewiele. Po wojnie nazywała się Janina Dynerman. To jest Jerzy Piotrowski, to jest znajomy mojego ojca jeszcze z wojny. Nie chcę pomieszać. On potem mieszkał w Lublinie z żoną Anną – Andzia chyba ją rodzice nazywali. Jest jakieś jego oświadczenie. Był jakoś związany z moim ojcem, z jakimś przenoszeniem broni w czasie wojny w Warszawie, bo jeżeli ja czegoś nie mylę, to w tych dokumentach będzie. To oni mieszkali najpierw w Warszawie też. Podejrzewam, że mama zrobiła to zdjęcie, bo jeżeli mojej mamy nie ma na tym zdjęciu, a ojciec namiętnie robił fotografie i filmy kręcił od bardzo dawna, to znaczy pierwsze fotografie są pewnie jakiś 1946-1947 rok z Warszawy. Filmy chyba od momentu, jak urodził się mój brat, bo to zawsze takie święto, jak rodzą się dzieci, czyli początek 1950 roku. Te filmy są troszkę nudnawe w tej chwili, bo to są głównie urodziny i jakieś tam późniejsze wyjazdy. To nie było takie proste, bo ja też pamiętam kręcenie tych filmów. To było jakieś rozstawianie świateł, jakieś były takie reflektory, żeby oświetlić to, bo to przecież nie to, co dzisiaj było, więc to tylko z jakichś okazji. Ojciec to wszystko rozstawiał i zaczynał kręcić filmy. Do dzisiaj jest u nas projektor powojenny taki olbrzymi, tylko zawsze mylę, bo nie wiem, co było pierwsze: czy filmy ósemka, czy filmy szesnastka. Na te pierwsze był jest taki projektor. Myśmy oglądali potem te filmy wszystkie.

Wiem to, co opowiadał, że pasją [taty] sprzed wojny było chodzenie do kina i gra w piłkę, więc może to chodzenie do kina przedwojenne [zainspirowało go do kręcenia filmów]. Pamiętam, jak opowiadał, żeby obejrzeć film to robił za klakiera w kinie. Nie wiem, czy chodził na jakieś nieme filmy i tam grali, i wtedy robił za tego klakiera – nie wiem. No niestety jest tak, że jak człowiek jest młody – nie myśli, nie słucha, a jak słucha, to mu wychodzi [z głowy] i potem żałuje. No ale to każdy to powtarza, kto jest w moim wieku i kto chce się dowiedzieć jak już jest za późno. No niestety. Myślę, że być może to zawsze było tak, że interesowało go kino, i że oczywiście zawsze lubił chodzić do kina. I tak podejrzewam, że po wojnie kamera też była gdzieś kupiona z jakichś rzeczy wyszabrowanych z ziem odzyskanych, ponieważ ten projektor jest niemiecki, jak dobrze myślę i od początku rzeczywiście kręcił te filmy i od początku

robił zdjęcia. Nie wiem, czy od początku Exaktą – takim aparatem fotograficznym, który ja mam, bo mi kiedyś dał. On się nie do końca już nadaje, bo ma tam jakieś prześwity, ale jest. Mam całe takie pudełko kliszy i mam całe pudełko fotografii. I no po prostu muszę kiedyś usiąść i zacząć coś z tym robić, to znaczy tam jest oczywiście mnóstwo fotografii, które powtarzają się, no bo dzisiaj to szybko można wyrzucić złe i dobre zostawić, a wtedy to robiło się odbitki i większość tych odbitek zostawała, więc tak naprawdę żeby je posegregować, no to trzeba usiąść, tak że ja powyciągałam tylko te, które są z Lublina, i rzeczywiście te, które są z Lublina zeskanowałam, i te, które podejrzewam, że są z Lublina, bo nawet nie jestem do końca pewna. I trochę zdjęć przedwojennych, znaczy z tego, co zostało i co dostałam z zagranicy. Chyba [tata] odpuścił, dlatego że ja pamiętam, jak już myśmy byli nastolatkami i ojciec zaczynał fotografować to myśmy oczywiście nie chcieli: „A, już przestań, już dosyć”. I chyba zniechęcił się. Miał jakiś cyfrowy [aparat], ale to już chyba tylko troszeczkę bawił się, już nie było to. Myślę, że myśmy go dość skutecznie z bratem zniechęcili do tego, żeby dał nam święty spokój. To co ja widzę oczyma wyobraźni, to jest to pudło, które ja mam z czarno-białymi zdjęciami i z filmami tymi takimi w rolkę czarno-białymi, no i te filmy, które są i w których być może nawet jest coś więcej, dlatego że ja mam normalnie filmy na taśmie filmowej w takich metalowych jeszcze kasetach, mam to. Z tego ojciec zrobił taki jakby przegląd w pewnym momencie na VHS. Jak oglądało się te filmy – one rwały się, to pamiętam do dzisiaj, z jednej strony było takie święto: „O, tato pokaż filmy, będziemy oglądać filmy”, ale z drugiej strony to było dość męczące, dlatego że te filmy rwały się, no to zapalamy światło, bo to wszystko oczywiście było zgaszone światło, na białej szafie oglądało się. Zapalamy światło, no to myśmy siedzieli, ojciec kleił, tam maszynka i wszystko. Jak to dopiero skleił – znowu ładował, puszczał. O, dwadzieścia minut – znowu przerwało się, no i on to na VHS potem, ale tak powybierał różne rzeczy, więc na tym filmie być może coś jest więcej, aczkolwiek podejrzewam, że naprawdę z dzisiejszego punktu widzenia dużo rzeczy jest nudnawych. Potem do Stanów wyjeżdżał – to już ja tylko jedną płytę przywiozłam. To tam, gdzie jest Lublin, bo tam do Stanów wyjeżdżał, kręcił film, jak jedzie do Stanów, no to zbliżanie się do Statuy Wolności to po prostu jest piętnaście minut płynie się i płynie, i płynie, no a dla niego to była atrakcja.

## 6. Ojciec urodził się już w Warszawie, tam całą rodzinę zastała wojna

Mój ojciec urodził się w Warszawie, mieszkali na ulicy Pańskiej. Byli taką rodziną niezasymilowaną. Ojciec chodził do żydowskiej szkoły, dziadek z tego co pamiętam, to po polsku chyba w ogóle nie pisał, mówił po polsku oczywiście, ale nie pisał chyba po polsku. Mój ojciec już pisał po polsku, potem skończył szkołę rzemieślniczą. Nie pamiętam w tej chwili adresu, gdzieś mam pozapisywane. Mieszkali na [ulicy] Pańskiej na pewno. Ojciec miał dwóch starszych braci, był najmłodszy. Najstarszy

brat był bratem przyrodnim, to znaczy był synem mojej babci mówiło się, że z pierwszego małżeństwa, aczkolwiek wszystko, to już nawet nie trzeba być genealogiem naprawdę, tylko wszystko wskazywało na to, że nie, no ale już wiadomo, ale to już nieważne jest w tej chwili. Co było śmieszne, o czym mój ojciec w ogóle nie wiedział – dowiedział się po wojnie, mimo że ten najstarszy jego brat nosił nazwisko panieńskie mojej babci i to mój ojciec dowiedział się o tym po wojnie i był strasznie zdziwiony, bo to jeszcze moja mama opowiadała. Najstarszy brat to był Szyja, średni brat był Jakub Dynerman i mój ojciec był najmłodszy – Israel. Ojciec był z 1917 roku. Jakub był pewnie gdzieś 1919 – ja to wszystko mam zapisane. Natomiast ten najstarszy był parę lat starszy, on był gdzieś 1906-1907 rok. Mieszkali najpierw na Pańskiej – tam był sklep z warzywami, z owocami na babcię, bo nawet jest w przedwojennych księgach. I potem z tej Pańskiej przenieśli się na Solec 115, na Powiśle. I ojciec już potem tam trochę opisywał, że nawet obawiał się trochę tego przeniesienia, bo Powiśle miało taką niespecjalną opinię. No ale że niesłusznie, że było wszystko w porządku, że było super, Solec 115 mieszkali, to jest blisko Tamki. Nie ma tego budynku w tej chwili. I na tym Powiślu zastała ich wojna. Ojciec pracował, dziadek pracował, wiem, że jako blacharz, że chodził na Plac Grzybowski wynajmować się do robót po prostu, na taką giełdę pracy. Nie wiem dokładnie, czy na tym Solcu był jeszcze jakiś sklep, czy nie było sklepu – tego w tej chwili nie pamiętam, bo na Pańskiej to wiem, że był sklep, ale ojciec opowiadał coś, że dziadek o piątej rano wstawał, kręcił lody do sklepiku – jakieś takie rzeczy. I wojna zastała ich na tym Powiślu. Najstarszy brat, ten przyrodni, jak mój ojciec opowiadał, był takim – ojciec nazywał z uśmiechem: „Taki honorny był”. No i były jakieś takie sytuacje, że mu zaczęli dziewczynę, to on odprowadził dziewczynę, wrócił się pobić – jakieś takie rzeczy. No i babcia strasznie nad tym ubolewała, że to niedobrze, że on taki jest wrywny. No i jak zaczęła się wojna i on zaczął właśnie jakieś teksty puszczać, że: „Widziałem, jak Niemiec kogoś popchnął czy zepchnął – ja bym mu pokazał”, i tak dalej. Postanowiła, że musi po prostu stąd wyjechać, z Polski, dlatego że pierwsze zetknięcie z jakimś Niemcem skończy się źle, bo on zacznie się stawiać. I razem z moim ojcem uciekali do Związku Radzieckiego. Ja nie znam szczegółów, ja wiem tylko, że złapali ich gdzieś na granicy i odstawili z powrotem. Prawdopodobnie Rosjanie, bo to tak przechowało się w pamięci. Odstawili ich z powrotem, oni wrócili do Warszawy. Potem ten najstarszy brat postanowił jeszcze raz uciekać. Nie wiem czy to było, czy uciekł razem z bratem mojego dziadka, czy oni niezależnie od siebie – w każdym razie obydwaj wylądowali w Związku Radzieckim. Ten najstarszy brat zaginął w Związku Radzieckim, znaczy ojciec mówi, że korespondencja przychodziła do czterdziestego pierwszego roku, a potem zaginął. Natomiast brat mojego dziadka wrócił do Polski i potem wyjechał do Izraela. Ja go nigdy nie poznałam, ale to jest jedyna taka rodzina, która zawsze uczestniczyła w naszym życiu, taka bliska dla nas wtedy była, bo przychodziły listy, pomarańcze przychodziły – to jest też oddzielna bajka. Natomiast dziadkowie, mój ojciec i średni brat wylądowali w getcie

warszawskim. Przywiozłam też skany, bo mój ojciec dwa razy udzielił wywiadu do gazety w 1983 roku, jak była rocznica powstania w getcie i opowiadał troszkę. Wylądowali w getcie. Mieszkali chyba na początku na ulicy Grzybowskiej, tak jak ojciec opowiadał, na początku jeszcze nie było tak źle, bo oni zabrali ze sobą jakieś swoje maszyny blacharskie i jeszcze było tak, że, ponieważ wcześniej doszła informacja, że mają przenieść się, to jeszcze tam poszli, jeszcze wyszukali jakieś mieszkanie i jeszcze było okay. Że zaczynało się robić źle wtedy, kiedy zaczęli przyjeżdżać spoza Warszawy Żydzi. Nie mieli Gdzie spać, nie mieli z czego utrzymać się i tak dalej, zaczynała się bieda. To wszystko jest jakby wiadome z historii. No i mieszkali w tym getcie, i mieszkali – nawet nie wiem, jak to opowiadać. W największym skrócie – ja potem jeszcze powiem to, co do mnie dotarło, ale w największym skrócie: wyszli z tego getta. Dziadek z babcią wyszli przed powstaniem do przygotowanej kryjówki u znajomego dziadka i schowali się w piwnicy. Mój ojciec dołączył w czasie powstania do nich, chociaż nie miał takiego zamiaru i w tej kryjówce z różnymi perypetiami przetrwali do wyzwolenia Pragi siedemnaście miesięcy. W tej piwnicy.

## 7. Ukrywanie się dziadków i ojca

Natomiast z takich opowieści puszcanych przez mojego ojca – bo żeby było jasne, mój ojciec z jednej strony niby troszkę opowiadał. Ja to nazywałam, że mojemu ojcu się tak ulewa, znaczy jak działa się coś, nagle tak coś puścił, coś tak powiedział. Jak myśmy zaczęli, albo nie ciągnęliśmy w ogóle tematu z różnych względów, albo jak zaczęliśmy ciągnąć temat, albo denerwował się, że go nie rozumiemy, no bo nie rozumieliśmy, co tu dużo mówić. Zadawaliśmy jakieś głupie pytania, dlaczego tak, a dlaczego śmiak – no teraz pewnie bym nie zadawała takich pytań, bo już więcej wiem na ten temat. A wtedy nie wiedzieliśmy tak dużo na temat zagłady. Albo nie chciał opowiadać, albo było to za trudne i dla niego, i dla nas. Albo po prostu myśmy mieli swoje sprawy, jak to młodzi ludzie, i szliśmy gdzie indziej. Też nie wszystko chciał opowiadać, dlatego że klimat wtedy polityczny był taki, że o wielu rzeczach on nie chciał mówić i mówił: „A i tak nie uwierzy nikt, co ja powiem”. Między innymi to dotyczyło jego ukrywania się w tej piwnicy i stosunków z tymi ukrywającymi, i tak dalej. Wiem, że był na Umschlagplatz, to wiem, że była taka historia, bo on o tym opowiadał, że była taka historia chyba w styczniu 1943 roku, czyli przy pierwszej próbie likwidacji warszawskiego getta, że złapali go gdzieś na ulicy czy wygarnęli skądś, pojechał na Umschlagplatz. Był tam w jakiejś sali w szkole, w której ci ludzie czekali, no i zaczęli ich wyganiać do wagonów i to było na piętrze. Były schody i ktoś zbiegając ze schodów na dole przewrócił się, ktoś na niego wpadł i potem ludzie zaczęli już celowo, ci zbiegający, wpadać. Zrobiło się zamieszanie, ludzie zaczęli się przewracać i Niemcy nie mieli czasu. Odpuścili, wygarnęli inną salę, a ich na jutro czy na później. No i w tym, czasie przyszedł ktoś z fabryki, w której pracował mój ojciec, i



go wyrekomendował, wyciągnął stamtąd. Jak to ja mówię: przeżyli tylko ci, którzy otarli się o cud. No i to jest jeden z cudów. A drugi cud to był, jak siedzieli w piwnicy i wojska rosyjskie szły, i przyszedł sąsiad, tak że już słyhać było, że już będzie wyzwolenie, że już może się uratują. Przyszedł sąsiad pana Marchowa, który ich ukrywał, że on chce schować się przed tymi wojskami, które idą. On nie ma piwnicy, a on wie, że ten [pan Marchow] ma piwnicę. Piwnica prawie zamurowana, ale on chce się w tej piwnicy schować. No i Marchow tłumaczy, że nie, że on gdzieś idzie, jak wróci to on sam wejdzie i się schowa. I Marchow przyszedł do moich dziadków i ojca, i mówi: „Ja nie wiem, co ja mam robić. Ja nie mam żadnego wpływu na to. No jak on przyjdzie, no to przyjdzie. No przecież co mu zrobię?”. No ale on nigdy nie wrócił ten facet. Prawdopodobnie został gdzieś złapany akurat w jakiejś łapance czy w czymś. I nigdy nie wrócił już. Tak że to taki drugi cud, bo przecież nie trzeba wydawać, wystarczyło ich wtedy wyrzucić stamtąd i na kilometr było widać. Pan, który ukrywał, nazywał się Marchow i to był znajomy mojego dziadka, i on był bardzo w porządku. Oni byli umówieni, że przechowają się tylko moi dziadkowie, natomiast mój ojciec nie chciał się tam ukrywać, dlatego że mój ojciec uważał, że oni się nie uratują, że absolutnie nie ma takiej możliwości, żeby uratowali się, natomiast powiedział, że to, czego nie jest w stanie znieść to tego, żeby zabili rodziców na jego oczach. Dlatego jego plan był taki, żeby ukryć dziadków, samemu że pójdzie do partyzantki i oni zginą oddzielnie, on zginie oddzielnie. On nie chce na to patrzeć. No ale nie wyszło, bo jak wychodził już w trakcie powstania, to nie mógł znaleźć kontaktu, nie mógł się zahaczyć, nie było jak i wszedł do tej piwnicy, i przeżyli. [Pan Marchow] był Polakiem. Ja nie wiem dokładnie, kim on był. Na [ulicy] Kawczej i na Pradze w takim domku jednorodzinny, który nie istnieje. On miał konkubinę i córkę, no i problem był z tą konkubiną i córką, dlatego że – to jest to, co ja wiem od ojca, ja dużo nie wiem, ojciec nie chciał opowiadać na ten temat, dlatego że to nie były czasy na opowiadanie o tym – jak ten Marchow chciał ich ukryć, ta konkubina z córką nie do końca. I tam były jakieś mocne tarcia i ten Marchow przychodził, mówił, że one każą ich wyrzucać, działa się coś tam złego. Oni oczywiście dostawali pieniądze na utrzymanie. Nie wiem, czy za przechowywanie też czy nie – tego nie wiem, natomiast na pewno otrzymywali [pieniądze] na utrzymanie ich. Coś nie tak było, że tak powiem, z cenami, że mówili, że to jest drożej, a że nie było. Oni wiedzieli stąd, że pomysł był taki, że oni nie mówili, że mają w piwnicy ze sobą jakieś kosztowności czy pieniądze, bo bali się po prostu, że nie będą ich przechowywać. Natomiast przychodziła z Warszawy ich znajoma co tydzień, taki kontakt utrzymywali i była mowa, że ona przynosi pieniądze i płaci, ale jednocześnie oni mieli jakby kontakt ze światem poprzez nią. I poprzez nią wiedzieli, że są inne ceny żywności. Nie wiem tak naprawdę. Wiem tylko, że po wojnie ojciec nie podał ich do Sprawiedliwych [Wśród Narodów Świata] – to jest pierwsza rzecz i nie chciał, bo ja to pamiętam, że ja jeszcze jako dziecko pytałam. Powiedział, że rachunek jest zamknięty, to znaczy że oni uratowali mu życie i rodzicom, i on jest za to wdzięczny, ale nic więcej nie jest już

winien. Więc coś było nie tak, jak trzeba. Ja mam nawet gdzieś zdjęcie [pana Marchowa], bo ojciec przechowywał jego zdjęcie. Jak Marchow zmarł, to rodzice wystawili mu pomnik na cmentarzu i podpisali rodzina, przyjaciele i ta córka, ta konkubina czy córkę wymazali to [napisali] przyjaciele i wtedy ojciec powiedział: „Okay”. To jest to, co ja wiem na temat piwnicy. I więcej ojciec nic nie chciał mówić. Natomiast to, jak można przeżyć w piwnicy tyle miesięcy, to ja nawet nie chcę o tym myśleć. Ojciec do końca życia zmagał się z depresją. Nawet mogę powiedzieć, że nie był łatwym człowiekiem. Aczkolwiek dobrze chciał, ale nie zawsze mu to wychodziło. Myślę, że po takich przeżyciach to... Na pół roku przed śmiercią próbował popełnić samobójstwo w 1996 roku, bo już miał dość. Potem, że tak powiem, walką o przetrwanie w komunizmie, jako prywatna inicjatywa, bo on miał prywatny warsztat. Ale ja myślę, że on nie jest jedyny, to się powtarza, że ci, którzy przeżyli zagładę, czasami po tych iluś latach już nie wytrzymują.

## 8. Historia Jakuba Dynermana

Co jeszcze ciekawe: średni brat, Jakub, on był w wojsku w 1939 roku. Dostał się do niewoli. Ja mam jego kartę jeniecką, którą znalazłam. I ojciec opowiadał, że w 1939 roku w niewoli w pewnym momencie zrobili zbiórkę i: „Wszyscy Żydzi wystąp!”. No i on też wystąpił, i Żydów zwolniono. No i tam oczywiście poszedł taki tekst: „A, wiadomo, Żydom jak zwykle najlepiej jest”. No ale ci, co nie przyznali się w tym wojsku, to przeżyli. I ja to traktowałam jako taką anegdotę, że to tak się mówi. Mam jego kartę jeniecką, na której jest napisane: Zwolniony z niewoli jako Żyd. No i wrócił z tej niewoli, wylądował w getcie razem z ojcem i dziadkami. W tym getcie ożenił się. Mam zdjęcia, ale nie wiem, jak się nazywała. Zdaje się, że była nawet w ciąży, ale tego nie wiem. No i jak przyszedł moment, że może schowają się w tej piwnicy, to zaproponowali też jemu, żeby poszedł z nimi do piwnicy. On powiedział, że może pójść tylko i wyłącznie ze swoją żoną, a dla niej już nie było miejsca, już było po prostu za dużo ludzi do tej piwnicy. No powiedział: w takim razie on nie idzie. No i został w tym getcie i jest tam do tej pory. Nie wiem dokładnie, co się z nim stało. Znaczą ojciec też chyba nie wiedział, znaczą tam się chyba coś opowiadało, że albo zagazowany, albo zalany, ale nie wiem, na ile to jest informacja rzeczywista, a na ile po prostu taki wniosek, bo działało się tak z Żydami w getcie.

## 9. Rodzice pobrali się w 1947 roku, ojciec był Żydem a matka Polką

Mama była młodsza, o! Mama była młodsza dwanaście lat, prawie trzynaście lat. Rodzice poznali się po wojnie, wzięli ślub w 1947 roku. Mama jest katoliczką, była katoliczką, zmarła w zeszłym roku [w 2018 roku], ale jak ja to mówiłam: bardziej żydowska, niż czasem Żydzi. Nie daj Boże coś było przy niej powiedzieć na Żydów. W 1947 roku oczywiście tylko ślub cywilny. Dziadkowie zdaje się nie byli zachwyceni,

moi dziadkowie żydowscy, no ale wszystko potem było dobrze, no przekonali się do niej. Znaczący nie byli zachwyceni ze względu na to, że to nie Żydówka, ale ojciec uważał, że po wojnie to się wszystko tak pozmiało, że tu nie ma co specjalnie patrzeć, że tylko Żydzi, że trzeba we własnym środowisku czy we własnym gronie, że to już w ogóle jest inny świat. To było tak, że z jednej strony nie było żadnej tajemnicy. Myśmy doskonale wiedzieli, że ojciec był Żydem, co przeszedł, jakie losy rodziny. Dziadkowie rozmawiali po żydowsku, to ja to pamiętam do dziś. Oczywiście z moim ojcem zwłaszcza wtedy, kiedy nie chcieli, żebyśmy my coś rozumieli, no to takie typowe było. Ojciec miał i rodzice mieli dużo znajomych Żydów, którzy przychodzili, często mówili po żydowsku. Nie było żadnej tajemnicy w domu, ale z drugiej strony ten dom nie był żydowski, to znaczący był taki normalny, zwykły, typowy dom tak jak moich koleżanek i kolegów. Może z wyjątkiem tego, że parę rzeczy jadło się czasami, ale niespecjalnie z okazji tradycji czy czegoś, tylko po prostu było dobre i babcia nauczyła moją mamę, to gotowało się w domu inne rzeczy niż u znajomych. Na co mi kiedyś zwrócono uwagę już jak byłam dorosła, że dla mnie było rzeczą oczywistą, że można być w piwnicy w czasie wojny. Jedni byli w partyzantce, inni gdzieś tam byli, a moi byli w piwnicy. No i dla mnie to była jakby rzecz oczywista, nie zastanawiałam się, bo ja zawsze z tym żyłam, że byli w piwnicy. Dla mnie to nie było nic specjalnie nowego. Ten dom był normalnie z choinką, z prezentami, z takimi świętami. Żydowskich świąt specjalnie nie obchodziło się. Nie różniliśmy się dużo od innych rodzin. Ojciec chodził zawsze do synagogi, na Jom Kipur, żeby za rodziców. Ja byłam co najmniej raz z nim, bo doskonale to pamiętam, bo wtedy wyprasza się z synagogi dzieci, które mają rodziców. Zostają tylko ci, którzy nie mają rodziców i jest wtedy modlitwa za rodziców, więc ja to pamiętam, że ja byłam, że właśnie wychodziłam, że wracałam i tak dalej. No jak mój ojciec zmarł, to staram się chodzić, że tak powiem nie mam nic wspólnego z żadną religią, ale staram się tradycyjnie za ojca chodzić, posiedzieć w czasie tej jednej modlitwy i wrócić do domu, żeby utrzymać jakąś tam tradycję.

#### 10. Było bardziej towarzysko niż religijnie

Znaczący ja mam na pewno powojenny tałes dziadka. Mam tefilin nawet dziadka, ale wydaje się mi, że to było bardziej towarzyskie, niż religijne. Znaczący ja nie pamiętam, ja miałam osiemnaście lat co prawda, jak dziadek zmarł, no ale mimo wszystko ja wcześniej dziadka pamiętam, bo dziadek z nami utrzymywał kontakt. Babcię może mniej, bo wcześniej zmarła. I ja nie pamiętam specjalnie, żeby działo się coś, żeby coś było. Mogłam czegoś nie wiedzieć. Mój ojciec to już w ogóle powiedział: „Po wojnie? To gdzie tam, skąd. W ogóle mowy nie ma”.

Babcia Krajewska, czyli mama mojej mamy miała sklep na [ulicy] Kępnej, a mój ojciec gdzieś na Kępnej chyba, czy w okolicach Kępnej wynajmował lokal na jakąś fabryczkę czy jakiś warsztat, bo później ten warsztat wiele lat był na [ulicy] Targowej

7. I ojciec przychodził do sklepu, a moja mama stała za ladą i tak się poznali. Babcię Krajewską pamiętam przez wiele lat i zawsze była w zgodzie z moimi rodzicami. Chyba nie było problemu [ze ślubem rodziców], a jeśli był jakiś, to ja nic o tym nie wiem

#### 11. Nigdy nie kryłam swojego pochodzenia

Ja to znam z opowieści mojego ojca, jak ja dowiedziałam się [o pochodzeniu mojego ojca]. W tej chwili bardzo mnie to śmieszy – na podwórku wszyscy wiedzieli. My mieszkaliśmy na [ulicy] Marszałkowskiej, przy [ulicy] Królewskiej, w samym centrum. Do końca, do śmierci mamy to mieszkanie było. I coś mi na podwórku powiedzieli, jak ja byłam małą dziewczynką, i wróciłam do domu i mówię: „Tato, powiedzieli na podwórku, że ty jesteś Żydem. To jest prawda?”, ojciec mówi: „Tak, prawda” – „Aha”. I poszłam. To z opowieści mojego ojca. Myśmy zawsze ojciec mówili, chociaż bardzo ojca kochaliśmy, ale bardzo żeśmy se z nim żartowali, mieliśmy taki swój kod porozumiewawczy, dlatego ja tak mówię: ojciec, ojciec. To nie jest dystans do mojego ojca. Tak mówiliśmy po prostu. Tato mówiliśmy rzadko. Mój brat się dowiedział inaczej, bo mój brat poszedł gdzieś do szkoły coś, ja to znam z opowieści jego, wrócił ze szkoły i mówi do mojej mamy: „Mama, ta wstrętna geografica, ta wstrętna Żydowa postawiła mi dwóję!”. Mamę po prostu piorun strzelił. Do łazienki i tam dała mu kazanie. On tak dowiedział się [o naszym pochodzeniu]. W szkole wiedzieli, bo ja nigdy tego nie kryłam. Zresztą nazwisko jest takie, że padało co jakiś czas pytanie, co to jest za nazwisko, czy to jest niemieckie nazwisko i ja zawsze odpowiadałam: „To jest żydowskie nazwisko”. Pamiętam różne rzeczy. Pamiętam, że mi kładli na ławkę wyrok śmierci na kartce. Nie pamiętałam tego, ale to mi przypomniał taki kolega, który chodził ze mną do jednej klasy, o którym nikt nie wiedział, że jest Żydem, potem uciekli przez Jugosławię, w tej chwili jest w Izraelu. I jak żeśmy spotkali się, to mi opowiadał: „Słuchaj, pamiętam jak ci narysowali na teczce swastykę”. Ja tego nie pamiętałam, on to pamiętał i dla niego było to straszne przeżycie. Powiem szczerze, że ja nie pamiętam, czy dla mnie to nie było znowu, że to było takie z dobrodziejstwem inwentarza, że ja tak to brałam. Ojciec w tej piwnicy, tu mi to rysują i kładą – no tak jest, i co. Zaczęło mnie boleć później, jak byłam starsza i zaczęłam rozumieć, zaczęłam coś więcej wiedzieć i zaczęłam rozumieć. Już jako dorosła, jak już ktoś mi tam coś dogadał to chyba bardziej. Jako dziecko nie pamiętam, żeby mnie to specjalnie jakoś [dotknęło]. Nie pamiętam tego.

#### 12. Ojciec od początku chciał wyemigrować z Polski

Natomiast jeszcze czym innym było to, że cały czas u nas w domu wisiała [w powietrzu] ta zagłada. Po pierwsze tak: ojciec od początku chciał z Polski wyemigrować. I od początku szukał miejsca dokąd wyjechać. I myśmy o tym

wiedzieli, ja znaczy jako dziecko może nie wiedziałam, ale jak już byłam nastolatką to już wiedziałam, co się dzieje. Więc myśmy byli zawsze na walizkach – ja to tak nazywam. Ojciec jechał do Izraela. No nie, w Izraelu to nie, a to za gorąco dla moich dziadków, a to może matka będzie czuła się tam źle. No to do Francji, bo tam ktoś z rodziny przechował. Też z jakiegoś powodu, nie wiem zresztą. No to może do Ameryki – to już był sześćdziesiąty któryś rok. Też nie z jakichś powodów. Potem wyjeżdżał z mamą do Kanady, to już wiem, że tam nas zgłosili do jakiegoś punktu i zapisali nas na wszelki wypadek, że gdybyśmy jednak chcieli. Wreszcie wyjechał do Danii i jest, bingo. Dania to jest ten kraj, gdzie on chciałby wyemigrować. No ale myśmy już wtedy byli prawie dorośli. I myśmy nie chcieli. Ja i brat powiedzieliśmy, że nie. Każdy miał swoje plany: ja chciałam zostać aktorką, aktorką w obcym kraju, w obcym języku – w ogóle nie ma mowy. Wszystkie marzenia by mi runęły, wszystko, więc nie. No i tak zostali w Polsce. Ojciec do końca życia się nie mógł z tym pogodzić, że został w Polsce, no ale trudno. No mama powiedziała, że bez dzieci nie pojedzie i tutaj winny się znalazł. I nie pojechali. Ojciec mówił, że przynajmniej chciałby być tam pochowany. Ziemię z Danii żeśmy przywieźli i włożyliśmy do grobu ojca. Z Danii, z Ameryki, z Izraela. Po pierwsze była atmosfera tego, że ojciec choruje, że była zagłada i wszystko, a po drugie była atmosfera, że: nic na stałe, bo my wyjeżdżamy. Na książeczkę mieszkaniową nie będziemy, bo jak będą mieszkania miały dzieci, to nie wyjadą i tak dalej, więc takie życie bez przerwy trochę w zawieszeniu, dopóki już nie padło, że na pewno nie pojedziemy. To nie jest dobre dla dzieci ani dla młodzieży.

### 13. Mimo wszystko ojciec był niesamowicie wesołym człowiekiem

Ojciec w którymś momencie zlikwidował warsztat w Warszawie, bo już nie miał siły pracować i nie potrafię powiedzieć, czy w tym samym czasie, czy nie w tym samym czasie ja pracowałam w Teatrze Żydowskim, już odchodziłam z Teatru Żydowskiego. Ojciec, ponieważ miał znajomych, miał kolegów, Szwelik był jego wcześniejszym kolegą, to mu powiedzieli: „Chodź, to będziesz sobie statystował”. I ojciec statystował w Teatrze Żydowskim, chodził na próby, na spektakle, był zachwycony. Mógł pogadać sobie po żydowsku, miał tam znajomych, coś się działo. I fajnie tak, miał taki okres teatru, ale on zawsze chorował mocno i zawsze ta choroba jakby przytłaczała jego i to wszystko, co się działo, chociaż w sumie był nieprawdopodobnie wesołym człowiekiem, nieprawdopodobnie. Te ileś lat temu ja spotkałam się jeszcze z takim panem, którego znał z fabryki, ponieważ on jak był w getcie, pracował w dwóch fabrykach, w tej chwili nie pamiętam nazwy. I wychodził też poza getto, bo co najmniej jedna z tych fabryk była poza gettem. Wyprowadzani byli i szli do tej fabryki, a on pracował tam z Polakami. I ja spotkałam się z jednym z panów, który właśnie go znał z tej fabryki, i on mi jeszcze powiedział ileś lat temu, już ojciec mój nie żył, mówi: „Pani ojciec, nawet jak z getta przychodził, to sypał tutaj dowcipami”. Z jednej strony

był szalenie towarzyski, dowcipny, zdystansowany, żartujący, a z drugiej strony wiecznie wisiła ta zagłada, z drugiej strony wiecznie zamykał się w sobie i wiecznie bóle głowy, i choroby, i pogotowie i tak dalej. Gdzieś zostawał w nim ten humor, ale to jedno z drugim gdzieś tam walczyło. No nie da się wymazać zagłady dla kogoś, kto przeżył. Myśmy z bratem nie przeżyli, a bez przerwy mamy z tyłu głowy zagładę. Nie do uwierzenia czasem. Mój brat, jak patrzę, jak on w tej chwili maluje – on jest malarzem, skończył malarstwo w Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie, w końcu wyemigrował z Polski w chyba 1983 roku. Jest w Stanach Zjednoczonych, Milwaukee, w tej chwili robi instalacje, takie rzeźby, instalacje najróżniejsze – z roku na rok jego obrazy są bardziej naznaczone jakąś taką przeżytą traumą, że nieprawdopodobnie. Ma stronę internetową [dynerman.com](http://dynerman.com), można tam zobaczyć jego prace.

#### 14. Dzięki pracy w Teatrze Żydowskim zaczęłam uczyć się języka żydowskiego

Ja natomiast uczyłam się w Teatrze Żydowskim po żydowsku, to jest jeszcze odrębna historia, bo ja nie dostałam się do szkoły teatralnej, jak wiele, że tak powiem, pańienek w moim wieku wtedy. I zaproponowali mi: „To chodź do Teatru Żydowskiego”, bo mieliśmy tam właśnie znajomych, przyjaciół, chodziliśmy do tego teatru. Tworzyło się studio. „Chodź”. No i poszłam. Rzeczywiście, skończyłam tamto studio, potem zdałam egzamin eksternistyczny aktorski. No, ale żeby pracować w Teatrze Żydowskim to trzeba jednak trochę coś przynajmniej zacząć. I myśmy mieli lekcje języka żydowskiego z panem profesorem Friedmannem, znanym tłumaczem potem przecież. I on nas uczył żydowskiego. Ponieważ ja byłam w Teatrze Żydowskim prawie pięć lat chyba, to ja rzeczywiście wtedy, bo to wiele lat minęło, ja wtedy ten język opanowałam całkiem przyzwoicie. Już by tak sobie ojciec nie pogadał z kimś, żebym ja nie rozumiała, co on mówi. To co pamiętam, co wiąże się z moim ojcem, pierwsza piosenka, jaką ja uczyłam się po żydowsku, no to uczyłam się kompletnie na ślepo, nie wiedząc ani co znaczy, ani nic, tylko fonetycznie uczyłam się kołysanki. No to ojciec mówi: „Dobra, nauczyłaś się, to śpiewaj, to zobaczymy”. No i ja pamiętam zaśpiewałam tę kołysankę, mój ojciec strasznie płakał, dlatego właśnie, że nagle usłyszał, że śpiewam po żydowsku. Ja nie do końca wiedziałam, co ja śpiewam, ale śpiewam po żydowsku. Potem śmiał się ze mnie strasznie, bo mówił, że ja mówię po żydowsku tak jak baby, co jajka sprzedawały w Warszawie, bo on mówił po warszawsku, a ja mówiłam tak jak mnie uczyli po litewsku czy po jakimś takim akcentem, tak mięciutko i tak dalej, ale już dziadek nie zdążył, bo dziadek w 1972 roku w wakacje zmarł i w 1972 roku ja zaczęłam pracę. To też byłaby frajda dla mojego dziadka, ale mój ojciec, że tak powiem, doczekał. W tej chwili praktycznie nie mówię po żydowsku. Po tylu latach nieużywania nie pamiętam. To znaczy jestem w stanie odczytać, bo pismo znam. Jestem w stanie napisać, no ale musiałabym się mocno zastanawiać, jakby ktoś chciał ze mną rozmawiać, jakbym miała coś

przeczytać. W każdym razie jak widzę, to nie uciekam z krzykiem, że nie wiem, co to znaczy.

Ja myślę, że [ojciec] uważał, że po prostu życie żydowskie skończyło się już kompletnie i nie ma o czym mówić. Znaczący on cieszył się, że czymś się zainteresowaliśmy, czy jak o coś pytaliśmy, że to nie zaginęło, ale odsuwał to od siebie. Ja mam wrażenie, teraz jak jestem dorosła, że zajął się tym, co dzisiaj. Zawsze mówił, że musi teraz [zarobić] na utrzymanie, na dzieci, na życie, że jest trudno.

#### 15. „Jak chcecie jakiejś pomocy, to jedźcie do Lublina”

W 1944 roku, jak Praga została wyzwolona i oni z tej piwnicy wyszli, jeszcze ojciec opowiadał, że jak już wojsko szło radzieckie, to stał [przy oknie] i odsłonił firankę i patrzył przez tę firankę, że idzie wojsko i go zobaczyło to wojsko, i zaczęli coś między sobą i pokazywać na niego, i on przeraził się strasznie, że oni też będą, że tak powiem, ich wyłapywać, ale po prostu oni źle wyglądali, no delikatnie mówiąc po tej piwnicy i dlatego sobie oni tam pokazywali. I jak wyszli, to po prostu nic nie mieli, nic nie było. Wiedzieli już, że w Lublinie tutaj zaczynają się tworzyć władze. Tu był komitet żydowski z tego co ja pamiętam, więc oni po prostu tu przyjechali po pomoc. Powiedziano im, że: „Jak chcecie jakiejś pomocy – jedźcie do Lublina”. I przyjechali tu do Lublina, znaczący przyjechał mój ojciec i przyjechali dziadkowie. Średni brat, tak jak mówiłam, w getcie został. Najstarszy – śladu po nim nie było. Ten brat dziadka, który uciekł do Związku Radzieckiego, przez moment pojawił się w Polsce, wrócił do Polski, zawinął się i wyjechał do Izraela, nawet nie wiem, kiedy, bo nie mogłam nic znaleźć i kontaktowali się już potem z tego Izraela. Oni przyjechali do Lublina, żeby jakoś zacząć nowe życie. Z tego co wiem, najpierw się tutaj przy komitecie gdzieś tam w jakiejś, nie wiem, czy wspólnej sali, czy w jakimś miejscu byli, ale ojciec mówi, że bardzo szybko uciekli, dlatego, że byli wszy. Mówił, że w piwnicy przez te wszystkie miesiące nie mieliśmy wszy, a tutaj były, więc żeśmy szybko uciekli. Zresztą ojciec był taki obrotny. Najmłodszy, najmniejszy z całego tego rodzeństwa, najbardziej taki delikatniusi, ale był dość obrotny. Pełnych początków nie znam zupełnie. Wiem, że mieszkali najpierw na [ulicy] Lubartowskiej 19 chyba, dawniej nazywało się to jakoś inaczej, bo wczoraj sprawdziłam w archiwum, a potem przenieśli się na [ulicę] Lubartowską 14, która potem była Lubartowska 20, z tego co wiem. I to jest to mieszkanie i warsztat, który ja pamiętam. I myśmy przyjeżdżali, ja to tak zapamiętałam, że chyba co tydzień. Jak nie w każdą niedzielę, bo przecież cały tydzień chodziło się do szkoły i do pracy, jak nie w każdą niedzielę, to na pewno co drugą, no w każdym razie wiadomo było: niedziela – jedzie się do dziadków do Lublina. Mieliśmy najpierw taką Warszawę bordową, garbusa, a potem taką nową Warszawę, ale to już dużo później. I tym samochodem jeździliśmy do Lublina. I pamiętam: przed Lublinem były takie górki, no to dla nas była wtedy zabawa, bo

ojciec podjeżdżał pod te górki, potem wyłączał silnik, myśmy czekali kiedy dojedziemy do tychgórek przed Lublinem, wyłączał silnik i bez silnika żeśmy zjeżdżali na dół. I znowu pod górkę i tam były chyba ze trzy te górki. Ich już chyba nie ma, bo ja potem jak jeździłam to nigdy nie mogłam znaleźć. No i pamiętam: wjeżdżało się do Lublina, jechało się Krakowskim Przedmieściem. Skręcało się w lewo właśnie w Lubartowską i Lubartowską jechało się w dół, no i na samym końcu była jakaś rzeczka, to pamiętam. Pamiętam mostek na tej rzeczce, w każdym razie jakąś balustradę, za domami – tam, gdzie jest teraz trasa szybkiego ruchu. Pamiętam balustradkę. No i ostatni dom przed tą rzeczką, to oni mieszkali. Babcia zawsze czekała na balkonie, bo już nie mogła się doczekać, kiedy my przyjedziemy, a dziadek w tym warsztacie, albo w drzwiach wyglądał, czy my już jedziemy czy nie. I pamiętam, że ta Lubartowska w dół to były kocie łby – nie wiem, czy to były kocie łby, czy to była kostka, ale w każdym razie „du, du, du, du, du, du!” – zjeżdżało się po kocich łbach, no i oni na dole na nas zawsze czekali. Pamiętam, mieszkali na pierwszym piętrze. Szło się po drewnianych schodach. Pamiętam zapach. Nie mogliśmy dosięgnąć do dzwonka, bo byliśmy mali wtedy. I był pokój i kuchnia. W pokoju tylko pamiętam, że było łóżko z wielką pierzyną i jakieś burko i dziadkowie pozwalali nam skakać z tego biurka na tą pierzynę, na to łóżko. Taki wąski pokój. Pamiętam wąską kuchnię. I jedno, i drugie chyba miało okno. I w tej kuchni był kredens, taki poniemiecki też z takimi koralikami, co trzeba kupić, mąkę, cukier, tam coś i myśmy zawsze bawili się tym. I pamiętam był jakiś maleńki chyba przedpokój i taki włącznik, jedno naciskało się w przedpokoju, to drugi wyskakiwał, jakoś tak światło się włączało i zawsze było, jak już żeśmy dorośli: „Waldek, a pomóż mi!”, a Waldek mówi: „A nie, a se dorośnij”. Pamiętam przepychanki przy tym włączniku. Ojciec wrócił do Warszawy, ojciec wrócił do Warszawy, bo nie wiem, czy uważał, że będzie miał większe możliwości, czy jak. Natomiast dziadkowie zostali [w Lublinie]. Był właśnie warsztat blacharski i to mieszkanie. Babcia była w domu, gotowała dziadkowi, no jak to gospodyni domowa, jak to w tamtych czasach było. Zresztą babcia zmarła w 1960 roku. Pamiętam, zawsze był okrągły chleb. Lublin kojarzy się mi z takim okrągłym, pachnącym chlebem. Nie wiem, czy była gdzieś piekarnia blisko, czy nie. I oczywiście rosół z makaronem na obiad. Babcia pewnie sama robiła na obiad ten makaron. Rosół z makaronem i okrągły chleb – to jest Lublin. I balkon był, babcia na tym balkonie – to jest to, co ja pamiętam. To takie mam obrazy. Wiem, że, gdzieś był bazar niżej i dziadek na ten bazar bardzo lubił chodzić. Kury wachał, dmuchał w te pióra, oglądał ryby i wszystko, bo on taki gospodarz, lubił kupować. I przynosił na przykład babci miskę ryb – babcia skarżyła się: „Znowu przyniósł mi miskę ryb. Co ja z tymi rybami mam zrobić? To ja mam takich dobrych Polaków – i zawsze mnie do dzisiaj to śmieszy, mówi – Mam dobrych Polaków, to ja im te ryby zanoszę”. Dobry Żyd, dobry Polak, taka odbitka. I prowadził ten warsztat. Też jak przez mgłę ten warsztat pamiętam. Pamiętam, że hodował kury w tym warsztacie. Nie wiem, czy, na zapleczu gdzieś. Potem jak przyjeżdżał nawet do Warszawy, do



nas na działkę, gdzie myśmy na wakacje jeździli, też przywoził kury, żywe kury – oczywiście.

#### 16. Mam bardzo duży sentyment do Lublina

Mam bardzo duży sentyment do Lublina, ponieważ dla mnie całe moje dzieciństwo to były właśnie przyjazdy do Lublina i ta [ulica] Lubartowska, i ten zapach domu, i to wszystko, babcia, dziadek. Ja właśnie pamiętam tylko takie fragmenty. Ja pamiętam jeszcze jedną taką sytuację, no bo ja tak naprawdę byłam dzieckiem jak w 1960 roku moja babcia zmarła, miałam sześć lat, jak babcia już zmarła. Pamiętam taką sytuację, że gdzieś mnie ojciec na Lubartowskiej zaprowadził, gdzieś poszliśmy tak w górę ulicy po schodkach – to do dzisiaj pamiętam. Potem poszliśmy na piętorko do jakiegoś mieszkania, znaczy ja teraz sądzę, podejrzewam, i teraz wiem, że to prawdopodobnie była czy gmina, czy TSKŻ [Towarzystwo Społeczno-Kulturalne Żydów]. I coś tam sobie rozmawiali dorośli, ja czekałam, czekałam i w końcu powiedzieli: „To ci coś pokażemy”. I podeszli do takiej zwykłej szafy, otworzyli tę szafę i wyciągnęli coś z tej szafy. Ja nie pamiętam, co oni wyciągnęli, ja tylko pamiętam, że to było coś strasznie ważnego, wszyscy nad tym: „Zobacz!”. Ja podejrzewam, że oni mi Torę pokazali wtedy, bo pamiętam atmosferę, że to jest coś bardzo ważnego, że to jest coś bardzo ważnego, no i potem, jak zaczęłam się interesować, no to wiem, że punkt wcześniej jest ta dawna bożnica przecież. Wydaje się mi, że to było w normalnym mieszkaniu. Obrazy z Lublina [widzę w mojej pamięci] jak przez mgłę. Natomiast zostało we mnie takie ciepło, że Lublin, że oni tu byli i że przyjeżdżało się, że to dzieciństwo. [Tego budynku, w którym było mieszkanie dziadków już nie ma]. To było moje straszne rozczarowanie, jak ja kiedyś tu przyjechałam. Losy człowieka rzucają w różne miejsca, więc ja tu nie przyjeżdżałam. No i kiedyś z mężem wybraliśmy się tutaj. Mąż miał tu swoje sprawy: „Jadę z tobą do Lublina”. [Poszłam wtedy na ulicę] Lubartowską. No a ja mówię: kurczę, nie ma.

#### 17. Dziadek był bardzo fajny

Znalazłam [w Archiwum Państwowym w Lublinie] strasznie śmieszny dokument. Oprócz tego warsztatu, tak mi się wydaje, tak rozumiem z tego pisma, dziadek zajmował chyba jeszcze jakiś składzik, i jest pismo, żeby go wykwaterować z tego składzika, bo dom nie ma toalet, sąsiedzi muszą chodzić do sąsiedniego domu, a tam jakoś można się podłączyć pod kanalizację i zrobić toalety. I oczywiście pomyłone nazwisko, ale to zawsze mylili nasze nazwisko. Nie jest Dynerman, Dykierman czy coś takiego, Mojżesz Dykierman. Dziadek jakiś czas był jako Mosze, i chyba w 1953 roku oficjalnie zmienił na Michał. W części dokumentów jest jeszcze Mosze czy Mojżesz, tutaj pierwszy raz się spotkałam z tym, że tak poważnie: Mojżesz, a potem, jest zmienione już na Michał i babcia też [zmieniła imię]. I tu w Lublinie zmieniali

przed sądem, też mam dokumenty, zeskanowałam. Ojciec też zmienił, ale nie znalazłam dokumentu, żeby oficjalnie, więc nie wiem, czy zmienił w Warszawie oficjalnie, czy tylko tak podał, to ja nie wiem. Nazwiska nie zmienili. Był taki moment, że była [w Lublinie ulica] Stalingradzka 20. Ja mam w domu starą pieczętkę dziadka: Warsztat blacharski, Stalingradzka 20. Znalazłam w dokumentach, że ze dwa czy trzy razy był na posiedzeniu cechu rzemiosł blacharzy, bo jest w protokóle, że zapłacił składkę.

Dziadek potrafił zrobić jakiś numer, że miał jakichś sąsiadów, co ich nie za bardzo zdaje się lubił, i chodziła – kiedyś to mówiło się Cyganka – Romka chodziła, wróżyła. On ją zawołał, wszystko jej opowiedział o tych sąsiadach i powiedział, żeby poszła im powróżyć. I ona poszła do tego sąsiada, no i on: jak to, że ona wszystko wie, co się dzieje u niego i tak dalej. Fajny był, dziadek był fajny. Przyjeżdżał, myśmy mieli pod Warszawą – do tej pory jest – taką działkę po wojnie rodzice kupili, na którą przyjeżdżało się na wakacje. I rodzice, ponieważ w lecie był największy sezon na wszystkie bańki, więc rodzice w lecie przeważnie pracowali i nie bardzo mieli co z nami zrobić, więc nas wysyłali na tę działkę, zawsze z jakąś opiekunką czy z kimś. I dziadek jak przyjeżdżał do Warszawy, to przyjeżdżał nas odwiedzać w tym Józefowie, jechał do wnuków. No i to pamiętam go znakomicie, bo to od stacji z 15 minut piechotą, ale przy stacji był postój dorożek i on wsiadał w dorożkę i tą dorożką przyjeżdżał na działkę i właśnie tam nas odwiedzał, dawał nam kasę – nie pamiętam, czy żeśmy mówili rodzicom, czy nie, nieważne, ale dawał nam kasę zawsze. To jednak 50 złotych to było coś. Dawał Waldkowi i mnie. I pamiętam, że nam do tego Józefowa żywe kury właśnie przywoził. To był taki czas, że na działce biegały żywe kury. Fajny był.

#### 18. Ojciec bardzo ciężko pracował

Na pewno to, co mogę powiedzieć z perspektywy czasu, było nam lepiej czy łatwiej, niż powiemy, niektórym rodzinom. To, co na pewno wiem, to że mój ojciec strasznie ciężko pracował, zwłaszcza na początku. U nas w domu krążyło takie powiedzenie, jak ojcu się coś nie podobało, co my robimy to mówił do mojej mamy: „Jak ty dzieci wychowałeś?”. Moja matka mówiła: „A ty co, na wojnie trzydziestoletniej byłeś?”, a ojciec mówi: „Nie, ja na półce spałem”. Na półce spałem – to rzecz polegała na tym, że był warsztat i w warsztacie była taka półka, w której jak ja już byłam starsza, to tam po prostu leżały różne rzeczy. I ojciec nie wychodził z tego warsztatu 24 godziny na dobę, tylko pracował. Potem spał tam i pracował. To było to: „Na półce spałem”. Z tym że ja tego nie pamiętam, to było prawdopodobnie wcześniej, albo jak ja byłam dzieckiem. Ojciec bardzo ciężko pracował. Potem mama pracowała razem z ojcem wiele lat, to ja już pamiętam. Ojciec miał uczniów, czeladników. Czasami było tak, że jak wyjeżdżali na urlop, to myśmy siedzieli w tym warsztacie, ja z bratem na zmianę, i sprzedawaliśmy bańki, i pilnowaliśmy ucznia, bo

to różnie bywało. Blacha była wtedy poszukiwanym towarem, blacha była tylko na przydziały. Oczywiście podejrzewam, że różnie tam sobie dawali radę, ale dzieciom nie mówiło się o tym. Wiem, że kiedyś jakiś domiar dostali rodzice, bo był jakiś popłoch w domu i pamiętam jakieś pisma wysyłali, ojciec denerwował się strasznie. Poza tym, ojciec nie chciał u nikogo pracować i mówił: „To jasne i oczywiste, że nie tylko ze względów finansowych, ale jako Żyd” – on nie chciał, bo on bał się, że właśnie coś będzie nie halo. No jak był młody to miał bardzo semicki wygląd. A jak był taki moment chyba, nie wiem, rok przed śmiercią, jeszcze był w miarę w dobrej formie, znaczy on był chodzący do ostatniej chwili, i pamiętam była sytuacja z moim samochodem, ja mu coś opowiadałam, on się tak zdenerwował, popatrzył się na mnie i zobaczyłam oczy człowieka z getta albo z obozu. Straszne miał wtedy oczy, taki strach, takie przerażenie w oczach. Nie było w ogóle powodu, ale wszystko tak się widocznie w nim gromadziło i pamiętam te oczy. On też bardzo mocno narzekał na czasy komunistyczne, powojenne. Bardzo mocno narzekał delikatnie mówiąc. Czego myśmy też nie mogli zrozumieć, że on mówił, że to jest gorsze niż wojna. Mówił „To jest gorsze niż Holokaust”. Ja mówię: „Ale jak to?”. On mówi: „Bo nie wiem, co się wydarzy, a wtedy to wiedziałem tylko, że mnie zabiją”. Jakoś tak mówił. Ja tego nigdy nie mogłam zrozumieć. Nie należał do żadnej partii, ale wtedy wszyscy byli przeciwko. Znaczący przynajmniej oficjalnie, albo przynajmniej w rozmowach, albo przynajmniej w życiu codziennym w pewnym sensie wszyscy byli przeciwko [systemowi]. A to, że mu dadzą domiar, a to że go nie wypuszczą za granicę, a to że mu tam czegoś odmówią, a to że nie dostanie przydziału blachy. Zawsze był zależny.

## 19. Miejsce pochówku dziadków

Dziadek zmarł w Warszawie, więc jest pochowany w Warszawie na [ulicy] Okopowej na cmentarzu żydowskim. Z babcią jest trudniejsza historia, to znaczy tak: babcia zmarła w Lublinie. To był jedyny czas kiedy pamiętam, że mój ojciec strasznie płakał. Tak jak nie widziałam ojca płaczącego, wtedy widziałam strasznie rozpaczającego, płaczącego ojca. On był zawsze dzieckiem mamusi. Babcia w zasadzie została pochowana w Lublinie, ale została przeniesiona, to znaczy nielegalnie z tego co wiem – to myśmy dowiedzieli się dopiero potem, mama opowiadała. Teraz jest już, że tak powiem, amnestia na to wszystko. Babcia została pochowana w Lublinie na cmentarzu lubelskim, nie wiem którym, nie wiem który był wtedy czynny. I mojemu ojcu nie spodobało się to strasznie, dlatego że zobaczył, że kozy tam chodzą. Mówi: „Jak to! Nie pozwolę na to”. No ale już było po pogrzebie. Z jakimiś znajomymi – ja mogę nie znać szczegółów tej historii, ale z jakimiś znajomymi czy z kimś poszli na ten cmentarz. Ktoś chyba był wtajemniczony w to. Wykopali babcię. Moja mama osobiście czyściła wszystko, żeby nie było śladu, że już odbył się pogrzeb. Prawdopodobnie władze nie interesowało, co dzieje się na tym cmentarzu żydowskim, skoro można było taki numer wykonać. Wezwano komisję, że chcą

babcię pochować w Warszawie. No i komisja przyszła, zaplombowała wszystko i przewieźli babcię do Warszawy, babcia jest pochowana w Warszawie. To długo nikt nic nie mówił, ale w końcu moja mama opowiedziała, jak to było z babcią, bo ojciec nie mógł tego znieść.

## 20. Zabawna historia z udziałem Symchy Wajsa

Nie wiem, skąd się znali, ale Wajsonie bywali w domu moich rodziców. Ja też pamiętam, oni mieszkali na Placu Konstytucji w Warszawie, musieliśmy być tam, bo pamiętam to mieszkanie. Z Wajsem była w latach sześćdziesiątych taka śmieszna historia, że mój ojciec przywiózł walkie-talkie ze Stanów Zjednoczonych, które notabene chyba wtedy było nielegalne, ale myśmy o tym nie wiedzieli. Można było porozumiewać się na odległość, to był cud techniki wtedy. Ale można też było jakoś tak, że na jakąś częstotliwość można było nastawić radio i właśnie przez to walkie-talkie puścić w radiu. I ojciec tak to załatwił. Myśmy siedzieli z bratem w drugim pokoju, Wajsonie byli jako goście u moich rodziców. Ojciec mówi: „O, poczekaj, bo chciałem posłuchać czegoś”. Włączył radio. A ja z drugiego pokoju mówiłam tam: „Dzień dobry. Dzisiaj u Państwa Dynermanów gości Symcha Wajs wraz z żoną Karoliną Wajs”. To były dowcipy mojego ojca właśnie. To pamiętam. Wajs był taki zaskoczony: „Jak? Ale jak to? Ale co?”. No i potem oczywiście wydało się, że to my sobie żarty robimy z drugiego pokoju.

Wajs mówił, że nie jada sałatki jarzynowej nigdzie. Nie jada sałatki jarzynowej na mieście, bo nie wie, co w niej jest, a nie jada w domu, bo wie, co w niej jest – to pamiętam do dzisiaj, tak opowiadał. To byli znajomi rodziców, więc to tylko takie anegdoty, co do nas docierały albo o czym rozmawialiśmy. Jeżeli nie mylę się – siostra Wajsa leży obok mojej babci na cmentarzu na [ulicy] Okopowej. Siostra Wajsa – Kubiak ona chyba jest po mężu.

## 21. Niektóre potrawy żydowskie gościły na naszym stole

Moja mama je przygotowywała. Pewnie nauczona przez moją babcię. To było tak: nadzionko z wątróbki do kurczaka takie na słodko z zieloną pietruszką. Myśmy bardzo lubili to z kurczakiem. Sałatka z wątróbki oczywiście, ojciec bardzo lubił. U nas się dużo jarzynek jadło na słodko, mówiło się zawsze, że właśnie jest wzięte z domu. U nas nawet szpinak jadło się na słodko, co w tej chwili wydaje mi się w ogóle rzeczą nieprawdopodobną i obrzydliwą, ale to prawda, u nas szpinak jadło się na słodko. No i był taki moment, że czasami chodziło się na [ulicę] Królewską. Na Królewskiej była restauracja żydowska taka w podwórku i chyba w podziemiach. I tam czasami chodziło się coś zjeść, i potem był taki moment, że co sobota – znaczy nie dlatego, że świętowało się szczególnie sobotę, tylko po prostu było i nam smakowało – co sobota przynosiło się czulent, to znaczy ja chodziłam z takim

termosem do tej restauracji, która była dwa kroki koło nas. Czekałam w kuchni – oni już mnie znali, nakładali mi ten czulent, no i ja przynosiłam do domu i myśmy jedli czulent. Raz zdarzyło się mi zjeść czulent, który miał podobny smak do tego, który ja pamiętam właśnie z dzieciństwa z tej knajpy. Raz jeden jedyny, jak zrobiła matka mojego kolegi w Kopenhadze kiedyś specjalnie. I to rzeczywiście co sobotę przynosiło się i jadło. Przez jakiś czas oczywiście, bo to ciężkostrawne w sumie i w pewnym momencie ojciec zachorował, już nie mógł, a wszystko w domu było pod ojca.

## 22. Święta i stryjek Chaim Dynerman z Izraela

No choinkę miały wszystkie dzieci, to jak dzieciom nie dać choinki? To było tak. Ja zresztą żeby było najśmieszniej, jak miałam ze dwadzieścia lat, pierwszą swoją gwiazdę Dawida dostałam od mojego ojca pod choinkę właśnie, żeby już tak było wszystko wymieszane. No myśmy się spotykali głównie z rodziną od strony mojej mamy, więc wszystkie te normalne święta, które spędzało się w rodzinie u mojej mamy, no to myśmy spędzali. Kontakt utrzymywało się ze stryjkiem. Myśmy go nazywali stryjkiem, aczkolwiek to był brat dziadka, który wyjechał do Izraela – Chaim Dynerman. On mieszkał w Haderze, przysyłał pomarańcze – ja to pamiętam. Pomarańcze w tych skrzynkach, które zanim dopłynęły statkiem, to już część była spleśniała. Żal było. Moja mama wykrawała pleśń i resztę żeśmy jedli. Stały pod moim biurkiem. Czasem, raz czy dwa razy, mama chciała dać do szkoły – nie chcieliśmy, bo to trochę były inne czasy, bo inne dzieci nie miały. I pisał listy stamtąd. I ojciec z nim pisał listy. Ja potem jak zaczęłam się troszkę uczyć po żydowsku, to też dwa czy trzy razy napisałam do niego list. On nigdy nie przyjechał do Polski. Był taki moment, że ja chciałam pojechać do Izraela – już po śmierci ojca. Złożyłam dokumenty, oczywiście mnie nie puścili. Od razu mi zresztą babka powiedziała: „I tak pani nie puścimy”. Pojechał mój brat ze Stanów, spotkał się z nim, troszkę porozmawiali. Dał trochę informacji, które dały mi możliwość potem poszukania jakichś dokumentów rodzinnych, to znaczy gdzie właśnie kto był. No i tyle, no ale ja go nigdy nie poznałam, bo on tam był samotny, on miał jakąś dziewczynę przed wojną, miał jakieś dziecko, chyba ślubu nie mieli – tak z tego co on opowiadał. Oni nie przeżyli wojny, on sam wyjechał i nigdy nie było żadnej informacji, że się z kimś jeszcze związał, tak że był samotny do końca życia i potem w końcu był w takim domu późnej starości. Miał kłopoty z oczami, jak zmarł to najpierw mój brat, a potem ja napisaliśmy, że może po nim jakieś pamiątki zostały. I dostaliśmy informację, że wysyłają do nas – nigdy do nas nie dotarło. I potem ja jeszcze pisałam, i oni znowu odpisali: Wysłaliśmy, ale widocznie zaginęło. Tak że jest parę zdjęć, które są z nim. On też miał warsztat blacharski. Robił takie wieże Eiffla na przykład między innymi z metalu i taką jedną wieżę mój brat z Izraela przywiózł. Nie wiem, dlaczego wieże Eiffla zrobił w Izraelu, no to jest jakaś tajemnica, której pewnie nigdy się nie dowiem. I

była jeszcze siostra mojego dziadka, która wyjechała przed wojną z Polski, która była w Paryżu, którą ja poznałam po wojnie, bo ona przeżyła. Miała trójkę dzieci, z tą trójką dzieci przeżyła. Z najstarszym ojciec utrzymywał kontakt. Ja jak miałam osiemnaście lat byłam z ojcem w Paryżu i ją poznałam, ale szczerze mówiąc nie chciało mi się jej słuchać. Po prostu byłam za młoda, no i bariera językowa. Ona po żydowsku z ojcem rozmawiała. Paryż, a nie tam jakaś starsza pani. o co chodzi. Natomiast potem ojciec utrzymywał i ja już utrzymywałam potem długo kontakt z jej synem, który był takim komunistycznym bojownikiem, wyzwalał Paryż. Ma takie zdjęcia na czołgu i w ogóle. On zmarł bardzo niedawno, z pół roku temu w bardzo późnym wieku. Jeździł po szkołach, miał pogadanki. Udzielał się bardzo do końca życia. Jemu wysyłałam właśnie wszystko to, co znalazłam. Od niego miałam trochę zdjęć. I pierwszy raz w życiu spotkaliśmy się w Paryżu już jak on był mocno starszym człowiekiem po tej wymianie listów z moim ojcem i potem po tej mojej wymianie listów z nim. Takie spotkanie urządził, żeśmy gadali. Opowiadałam mu o jego rodzinie, bo ja już miałam różne rzeczy powyciągane, on nie wiedział. Ja mu opowiadałam kto, co, gdzie. Potem jeszcze znalazłam dokumenty na temat jego matki, ale to już nie przekazałam tych dokumentów, bo mi wyszło z tych dokumentów, że ona miała jakiegoś męża w Polsce przed wyjazdem z Polski, jakieś dziecko. Nie wiedziałam, czy wiedzą, czy nie wiedzą, więc pomyślałam sobie: "A..."

### 23. Charakterystyka pracy w zakładzie blacharskim

Na pewno pamiętam, że tak: były olbrzymie płyty blachy. Była taka wielka gilotyna, którą przycinało się blachę, taka obciążona z jednej strony wielką kulą. Potem jakoś zakręcało się ją, żeby był walec. Ale to ja aż tak to nie pamiętam. Na pewno potem walec był lutowany. Były oddzielne maszyny, gdzie robiło się denka i to były jakieś maszyny, że tak: wycinało się kółko, potem zawijało się, maszyna zawijała rant, żeby sobie ręk nie pociąć, i to jakoś tak było, że było z raz czy dwa, czy trzy razy, żeby ona była dobrze zagięta. I to takie oddzielne elementy robiło się, że korpus, denko, oddzielne były szybki, to ojciec gdzieś kupował te szybki. Potem była nakładka na tę szybkę, to znaczy przylutowywało się takie coś, w co się montowało szybkę i kitowało się czerwonym kitem – matka przeważnie kitowała i takim kozikiem wyrównywała. Potem to wszystko było lutowane, to znaczy ten korpus, to denko było przylutowywane, korpus był przylutowywany, w czym była osadzona szybka. Potem robiło się pokrywkę. Ta pokrywka też była z paru części, bo była z kółka, z takiego kołnierza. Oddzielnie robiło się rączkę z pasków – rączka też była przylutowywana. Nie pamiętam, czy ta góra, ten kołnierz z górą czy był przylutowywany, czy był jakoś zaginany razem – tego nie pamiętam. Pukielki – pukielki to było kółeczko wycinane z blachy, potem była taka prasa, która w to waliła, wyginała, robiła takie coś z dziurką w środku. Przylutowywało się do boków i do tego był pałak robiony z metalu, czyli znowu był drut metalowy, który cięto się na kawałki i potem na jakiejś maszynie, tego

już nie pamiętam, zawijało się i końce zawijało się i wtykało się w dziurki w pukielki, żeby nosić. I jeszcze robił ojciec kraniki, czyli kupował takie laski, kraniki były z mosiądzu. Taką laskę kupował i potem jakoś tak była ona nacinana, takie jakby główne kształty były robione w tej lasce. Potem cięta na kawałki, bo kranik składał się z dwóch części, ja też mam te kraniki w domu, bo myśmy zatrzymali [na pamiątkę]. Jakaś jedna część była taka z dziurką, a druga była taka wkładana z uszami do przekręcania. To było strasznie dawno, więc ja sama dziwię się, że ja jeszcze pamiętam. I jakoś było tak, że jedno do drugiego musiało idealnie pasować, bo inaczej by ciekł, więc właśnie jakoś tak ojciec robił, to potem jakoś tak zasysał, żeby sprawdzić, czy trzyma się. To robiło się na tokarce. Pamiętam tokarka stała w takim kąciku. Pamiętam też, że ojciec jakąś maszynkę dla mnie zrobił. Nie pamiętam już, sam coś skonstruował, żebym ja coś robiła. A już później, jak zostawały mu kawałki, ale to już wnuki miał, to robił takie foremki do babeczek. To miał taką maszynkę, ciął i tak du! Taka prasa po prostu. I mama lutowała, kitowała i potem doczyszczala te bańki kredą. Miały naklejki, pieczętkę. Kiedyś wyjechałam na wakacje, chyba miałam z szesnaście lat, z jakąś koleżanką pojechałam na wakacje koło Hajnówki, na jakieś wsi byłam i dziadek tej koleżanki zabrał nas na bazar, chyba do Hajnówki nas zabrał. Chodzimy, chodzimy, chodzimy, ja patrzę: bańki. Otwieram, patrzę – jest pieczętka mojego ojca, bo on sprzedawał pośrednikom, on nie sprzedawał bezpośrednio na jakichś targach, tylko on miał klientów. Ojciec nauczył mnie też pakować paczki. Odmierzał najpierw ilość sznurka, żeby nie tracić sznurka, odmierzał, a potem – no nie będę opowiadać, bo to są szczegóły, drobiazgi, ale tak pakować, żeby było dobrze, żeby wszystko trzymało się, rączka i tak dalej. To ja do dzisiaj tak pakuję wszystko. I albo przyjeżdżali klienci i brali te paczki, i czasem pociągami wyjeżdżali, albo ojciec woził samochodem do innej miejscowości. Pamiętam tylko, że były różne numery [baniek], bo różnej wielkości, więc mówiło się dwójka, trójka, czwórka – jakoś tak coś. To tylko to pamiętam. I pamiętam, że zawsze stały gdzieś na półce, znaczy tu ojciec robił, a tu stały na półce, znaczy rzadko kiedy ktoś przychodził z ulicy, żeby kupić taką bańkę. Jeżeli ktoś przychodził z ulicy kupić taką bańkę, to były jednostkowe przypadki, tak jak ja pamiętam. Natomiast generalnie brali ci pośrednicy, którzy potem sprzedawali na bazarach, na wsiach, bo to głównie na wsi szło. Ja byłam wtedy niezbyt duża, więc ja teraz wszystkiego tego nie pamiętam. Pamiętam warsztat był zamykany, miał takie okiennice, takie dechy trzeba było wsunąć, żeby od zewnątrz okna zamknąć. Tabliczkę od warsztatu mam do dzisiaj. Klucz ma mój brat, a ja mam tabliczkę. Chyba gdzieś w 1992 roku czy którymś [warsztat] został zamknięty, jak ojciec już miał po dziurki w nosie. I moja mama też pracowała. Na początku zajmowała się nami, dziećmi, a potem w pewnym momencie zaczęła pracować u mojego ojca, mimo że była technikiem dentystycznym z wykształcenia, to zaczęła pracować potem razem z ojcem i już na zmianę pracowali w warsztacie.

#### 24. Wyjazdy ojca za granicę

Do Stanów Zjednoczonych [ojciec] pojechał na pół roku i wiem, że pracował. Nie wytrzymał pół roku – był trzy miesiące. Po trzech miesiącach wrócił. Tam pracował. Wiem, że pracował w Coney Island, w wesołym miasteczku, lody sprzedawał. Znaczący myślę, że głównie jechał po to, żeby zahaczyć się gdzieś tam, zaczepić. No do Izraela jak pojechał w czterdziestym tam którymś roku, nie pamiętam w którym, siódmym, ósmym – no to pojechał pewnie do stryjka i pojechał rozejrzeć się, jak tam jest z emigracją. Też mam jakiś fragment filmu, jak na osiołku jedzie, takie różne. Do Paryża z kolei był u ciotki, czyli u siostry dziadka, tej co przed wojną wyemigrowała, ale to też chyba krótko. Najdłużej chyba był w Stanach. Do Kopenhagi jeździł do takich naszych znajomych, do państwa z Skomorowskich, którzy też mieli udział, chyba ich matka też pomagała przechowywać ojca. Oni wyemigrowali w 1968 roku czy w 1969 roku z Gdyni do Danii i tam do niej jeździł. Ale to jeździł czysto, że tak powiem, żeby się dobrze czuć, bo tam czuł się dobrze. Miał chyba jedną jakąś odmowę [zgody na wyjazd], ale tak: zawsze zostawała matka, zawsze zostawały dzieci, zawsze zostawał tutaj warsztat. Jakąś odmowę chyba miał, bo mam jakiś dokument, gdzieś coś jest napisane. Raz nas nie wypuścili. Jakoś było tak, że siostra mojej mamy wyszła za męża za Włocha i wyjechała do Włoch, i mieszkała we Włoszech przez ileś lat. Rodzice chcieli do niej pojechać – to było w 1966 roku – razem z nami. No to nas nie puścili. Ja wyciągnęłam teczkę z IPN-u i tam jest napisane, że nas nie puszczają, bo doszła do nich informacja, że chcemy zostać za granicą. Mój syn nazywa mnie „biały wywiad”, ja wszędzie wleżę i wszędzie wszystko wyciągnę. Nic o tym nie wiem, czy rzeczywiście miało tak być. Rodzice pojechali sami, myśmy nie pojechali. No akurat niedługo później zginął mój brat cioteczny w wypadku, więc nawet nie zdążyliśmy z nim się zobaczyć. To wtedy, wiem, że nas nie wypuścili. Mnie do Izraela nie wpuścili, ale tak to wypuszczali nas. Przeważnie było tak, że ktoś zostawał jako zakładnik, jak to myśmy się śmiali, to znaczy albo my z ojcem jechaliśmy – mama zostawała wtedy na przykład, albo rodzice wyjeżdżali – myśmy zostawiali. Do Kopenhagi parę razy jeździł, bo w Kopenhadze się świetnie czuł. Mój kolega taki bliski mi kiedyś wyemigrował do Kopenhagi w 1974 roku, to jeszcze na lotnisku mi ojciec mówił: „Weź ty się zastanów, zastanów się, no! Może jednak nie wrócisz? – mówi. – Ja nie mam nic przeciwko temu”. No miał taką idée fixe.

## 25. Repertuar Teatru Żydowskiego w Warszawie

Było W nocy na starym rynku Pereca, była taka sztuka Było sobie miasteczko – taka składanka z piosenek z innych rzeczy. Był Zmierzch Babla, ale to drobiazg, Witkowski robił. Dzban pełen słońca, zdaje się jakieś takie rzeczy były. Ja nie do końca pamiętam. Był Dybuk, ale to chyba jakiś drobiazg. Józiek Adelson pamiętam, grał wtedy chyba pana młodego, a Gołda grała pannę młodą. Generalnie w całym



tym repertuarze się było, bo po prostu ludzie tam byli potrzebni. Ludzie byli potrzebni jak nie z przodu, to z tyłu. No myśmy uczyli się, myśmy mieli zajęcia wtedy jednocześnie. Z Grucą uczyliśmy się tańca, Jadwiga Marso uczyła nas scen aktorskich. Hańcza uczył wtedy. Friedmann uczył nas języka [jidysz]. Profesor Lasocka ze szkoły teatralnej uczyła nas historii teatru, bo z dziesięć-jedenaście osób zdawało wtedy egzamin. Z czego jest w teatrze Tina z tamtych czasów, jest Chaim Raifer – to jest właśnie ten mój czas. No wtedy była Lenka, wtedy był Janek, ale nie pamiętam, czy Janek z nami zdawał. Z Jasiem mamy kontakt do ten pory, z Leną też. No Lena była [żoną] mojego brata, była moją bratową, więc mamy kontakt od czasu do czasu. Mają syna z moim bratem. W całym repertuarze oczywiście zawsze były piosenki gettowe, na rocznicę powstania w gettcie zawsze jakiś spektakl na ten temat. Dawno to było tak naprawdę, ale wspominam bardzo dobrze.

<b>Data i miejsce nagrania</b>	2019-02-13, Lublin
<b>Rozmawiał/a</b>	Piotr Lasota, Dagmara Spodar
<b>Transkrypcja</b>	Karolina Kołodziej
<b>Redakcja</b>	Dagmara Spodar
<b>Prawa</b>	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"